

Ks. Jerzy SZYMIK

CZY WARTO CHODZIĆ DO KINA? VIII Warszawski Festiwal Filmowy (X 1992)

Waldemar Dąbrowski, przewodniczący Komitetu Kinematografii, pisał w przeddzień otwarcia festiwalu: „Warszawski Festiwal Filmowy ma już długoletnią i chlubną tradycję w propagowaniu kina artystycznego. Jest to szczególnie ważne dzisiaj, kiedy tak wielu widzów zadowala się oglądaniem wyłącznie komercyjnego repertuaru na kasetach wideo, a sala kinowa stała się miejscem zapomnianym [...] To «inne kino» jest nam bardzo potrzebne [...] Wiemy, że ósma edycja Festiwalu nie rozczaruje wiernych miłośników tej imprezy. Szersza niż dotychczas prezentacja dokonań europejskich kinematografii i naszych najwybitniejszych osiągnięć na ich tle, z pewnością pobudzi widzów do wielu ciekawych przemyśleń”.

Czy tak było? Pragnę odpowiedzieć na to pytanie z mojej perspektywy – widza.

„CARAVAGGIO”

Michelangelo Merisi, zwany Caravaggio (1573-1610), malarz, główny przedstawiciel włoskiego baroku, był artystą genialnym i prekursorskim. Pozbawiał portretowane postaci heroizmu i ckliwości, zewnętrzny patos zastępował wewnętrznymi przeżyciami bohaterów, które umiejętnie wydobywał pędzlem. Biografowie odnotowują jego awanturniczy tryb życia, popełnione zabójstwo w pojedynku, protektorat kardynała del Monte.

Brytyjski reżyser Derek Jarman opowiada o Caravaggiu z nie ukrywaną przyjemnością. Trudno o postać lepszą dla pokazania wewnętrznych zgryzot i duchowych chorób artystycznej bohemy XX wieku. Caravaggio Jarmana jest postrzegany poprzez współczesne fobie. Oglądając większość kręconych w ostatnich latach na świecie filmów o artystach i sztuce, człowiek tworzący winien wpaść w kompleks. Bo – myśli sobie – jeśli nie jestem homoseksualistą (a przynajmniej biseksualistą), jeśli nie mam zwyczaju pić do rana, nie używam narkotyków i nie jestem nasączony odpowiednią dawką cynizmu i nie zrównoważenia psychicznego, to mój artyzm jest co najmniej podejrzany.

To problem szerszy niż film Jarmana. Rozerwanie komplementarnej triady „piękno – dobro – prawda”, kuszenie obłudą, zło i rozpacz jako podstawa tego, co genialne... „Niech żyje zwątpienie, bo z niego rodzi się zrozumienie”; „Żadnej nadziei, żadnego strachu” – słyszymy z ekranu.

To mój główny zarzut i żal pod adresem Jarmana: kłamstwo, niszczenie nadziei. Drugi poważny zarzut dotyczy strony artystycznej: film jest nudny. I trzeci: film przypomina pod pewnym względem obrazy Szulkina czy *Pokutę* Abuladze. A surrealizm w kinie może drażnić. Jeśli symbol nakłada się na symbol, który jest tłumaczony przez inny symbol wyrastający z pewnego

symbolu, to moja wyobraźnia „wysia-
da”. Ani nie odbieram, ani nie nadaję
na tej fali. Tego rodzaju obrazowanie
jest chyba dla tych, którzy kulturowo
pochodzą z Bizancjum, a nie z Rzymu.
Trudno.

Czy sztuka ma do zaproponowania
coś innego poza chorobą duszy, bluź-
nierstwem i rozpaczą? Poza apoteozą
szaleństwa? Sądzę, karmiony prawdą o
Wcieleniu, że ma, i że ciemność nie
jest ostateczną prawdą o życiu.

„DOTKNIĘCIE RĘKI”

To dzieło Krzysztofa Zanussiego
ze słynnym z filmów Ingmara Bergma-
na Maxem von Sydow w roli głównej.
Z reklamówki przepisuję pytania ko-
mentujące scenariusz: „Czy mamy pra-
wo ingerować w prywatność drugiego
człowieka – nawet w imię tak zwanych
«wyższych celów»? Czy warto poświę-
cać jedną sprawę dla innej i kto ma de-
cydować, która jest istotniejsza? Gdzie
przebiega ta dziwna granica w człowie-
ku – granica pomiędzy wewnętrznym
pięknem i brzydotą, prawdą i fałszem,
zdolnością do kontaktów z absolutem
i przyziemnymi pragnieniami? Kto po-
wiedział, że sztuka, choćby przez wiel-
kie S, znaczy więcej, niż zwykle, spo-
kójne życie i miłość rodziny?”

Dla mnie jest to przede wszystkim
film o starości, o tej „przedziwnej sztu-
czce natury, znieczulającej człowieka
na śmierć” – jak słyszymy w jednym z
końcowych dialogów. I o trudnych
sprawach życiowego bilansu pomiędzy
dobrem i złem; każde, najmniejsze na-
wet dobro jest w stanie przeważyć sza-
lę życia na korzyść...

Zanussi odważnie kwestionuje
„boskość” sztuki. Jest ona wprawdzie
wielka i niepojmowalna (gdyby dało
się ją ująć w słowa i wytłumaczyć, by-

łaby zbędna), ale nie jest ona ani Bo-
giem, ani królową wśród wartości.

Najlepszy, w moim odczuciu, film
festiwalu.

„KIEDY ROZUM ŚPI...”

... budzą się demony – podpisał je-
dną ze swoich rycin Francisco Goya. I
ten aluzyjny tytuł sugerował, że dla
widza zastawiono ucztę intelektualną.
Nazwiska Gajosa i Pszoniaka wydawa-
ły się te nadzieje potwierdzać. Nieste-
ty, Maciej Ziębiński zrobił film słaby.
Może nie da się powiedzieć czegoś sen-
sownego o rozumie i demonach w wie-
ku 25 lat, a może po prostu nie należy
igrać z przerostem formy nad treścią.
Piszę to bez złośliwości. 25 lat to wiek
bardzo dobry dla środkowego napast-
nika, ale być może jeszcze nie dla re-
żysera.

Jest tam wprawdzie jakaś próba
analizy „tajemnicy nieprawości” zżera-
jącej ludzkie wnętrza (nawiasem: wi-
wisekcja zła jest chyba najczęstszym
tematem współczesnej kinematogra-
fii), są jakieś niezłe kręcone sceny w
XVIII-wiecznej, pałacowej scenerii.
Ale – jak mówi z ekranu jedna z boha-
terek – „nadchodzi najgorszy wróg:
nuda”. I ona jest w tym filmie praw-
dziwym usypiaczem rozumu.

Inna z przerysowanych postaci po-
wiada: „nie ujawnię prawdy, bo to nie
moja dziedzina”. Jakby film mówił o
sobie... W gruncie rzeczy widz wstają-
cy z fotela ma wrażenie, że oglądał
coś, co przypominało jeden z zegarów
naprawianych przez głównego bohate-
ra, młodego Bardo. Zegar tykał, ale
nie chodził.

„MOJE WŁASNE IDAHO”

Czy wynaturzenie jest prawdziwą
twarzą tej ziemi pod koniec XX wie-

ku? – zastanawiam się po raz któryś, oglądając kolejny film skoncentrowany na moralnych dewiacjach homo sapiens. A może kino dzisiejsze jest lustrem o nierównej powierzchni, porysowanym, fałszującym prawdę o człowieku, jak w cyrkowych gabinetach krzywych luster?

Film Gusa Van Santa odwołuje się do „kina drogi”, gatunku specyficznie amerykańskiego. Jego bohaterowie, dwaj młodzi mężczyźni, podróżują „wzdłuż” i „w głąb”, przemierzają tysiące mil i odkrywają, kim są, na czym im zależy w życiu najbardziej. Mike i Scott zajmują się procederem odrażającym: homoseksualną prostytutką. Mike cierpi na narkolepsję, tzn. w sytuacjach, które są dla niego zbyt trudne, zapada nagle w głęboki sen. Okazuje się, że dzieci hippisów z lat sześćdziesiątych – czyli dzieci „dzieci kwiatów” – są wątłe duchowo i fizycznie, nie umieją żyć. Pozostaje ucieczka w wynaturzony seks i sen. Choć pozostaje również tęsknota za miłością.

Dobry, amerykański warsztat, znakomicie grają River Phoenix i Keanu Reeves. Śliczny motyw muzyczny, cudowna wokaliza pojawiająca się w pierwszych sekwencjach na tle panoramy pól Idaho – nie wraca już więcej w filmie. Jakby twórcy chcieli zasugerować, że piękna już wystarczy, teraz idziemy w normalność, czyli w błoto.

Czy to jest prawda o życiu? Wątpię. Zwłaszcza, że – powtarzam – czytałem cztery Ewangelie.

„DZIWKI”

Ken Russell, reżyser i autor scenariusza, oparł film na sztuce napisanej przez londyńskiego taksówkarza Davida Hinesa, zatytułowanej *Niewola*. Materiałem dla Hinesa były opowieści

prostytutek, które często woził. Russell – jeden z największych wizjonerów i najbardziej kontrowersyjnych twórców współczesnego kina – przeniósł akcję z Londynu do Venice w Kalifornii, przeszłość zmieszał z teraźniejszością, wspomnienia z marzeniami.

Film jest próbką socjologicznej i psychologicznej analizy zjawiska prostytutki. Szuka odpowiedzi na pytania: dlaczego tak się dzieje? jaka jest droga na dno? jakie są szanse wyjścia?

Ogląda się to wszystko z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, film zrobiony sprawnie (dobra rola Antonio Fargasa jako „Rasta”), ukazujący korzenie i mechanizmy zła, będący jakimś dramatycznym „nie” wobec grzechu i tragedii prostytutki. Z drugiej strony, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że pewne wymiary ludzkiego poniżenia Russell wykorzystał jako tani chwyt w stylu „to jest wprawdzie fatalne i odrażające, ale spróbujmy przy okazji się trochę zabawić”.

I w ten sposób pragnienia bohaterki – „muszę być komuś potrzebna”, tęsknota za dzieckiem, za przytuleniem z miłości, a nie z żądzy – pozostają zawieszona w pustce.

„ŚWIAT WAYNE'A

Miało być superśmiesznie, ale do połowy filmu śmiała się w kinie tylko „dzieciarnia”. Siedziałem naburmuszony. Wizja świata, jaką obserwowałem na ekranie, zbyt mocno przypominała telewizyjny „Luz”, „Rocknockę” czy wywiady z warszawskimi licealistami w podejrzanych tygodnikach. Poza tym czuło się wyraźnie, że za wesoło-sympatyczną atmosferą stoją spece od reklamy i fachowcy od audiowizualnej manipulacji...

Z czasem jednak zacząłem się śmiać i ja. Slang był rzeczywiście ory-

ginalnej jakości („Czy Panią przerażam? Nie, nie! A mam to robić?”), dystans do konwencji filmowej (np. napis „Oscar za ujęcie!”), trzy wersje zakończenia, z których widz wybiera tę, która mu najbardziej odpowiada.

Choć wiele wątpliwości pozostało. Jestem też przekonany, że 17-latek odbierze film o wiele bardziej serio, w kategoriach propozycji na życie. I wtedy zamiast śmiesznie może być smutno.

Ale może miał rację Wayne, kiedy w jednej z sekwencji cytował Kierkegaarda: „kiedy szufladkujesz ludzi, zarazem ich negujesz”. Poza tym może jestem zbyt surowy w ocenie? Może do młodej widowni, dla której zrobiono ten film, warto adresować prościutkie przesłanie-morał ze świata Wayne’a: nie wystarczy mieć świetne ciuchy, ładną twarz, sylwetkę Sylwestra Stallone i znać się na trunkach, żeby być wartościowym człowiekiem? Może w wieku dwudziestu lat jest to jeszcze lekcja nie przerobiona? Może.

„OLIVIER, OLIVIER”

W jednym z wywiadów reżyserka, Agnieszka Holland, powiedziała o tym filmie: „Sama nie wiem, o czym on jest. To najbardziej tajemniczy z moich filmów. Postaci są skomplikowane, są dobre i złe. Myślę, że to obraz jednak bardzo złożony...” Ja też nie wiem, o czym ten film jest. Ale nie czyniłbym z tego powodu zarzutów Agnieszce Holland.

Powiedziałbym, że najbardziej jest to film o rodzinie – o niedojrzałości rodziców do rodzicielskich zadań, o konflikcie pokoleń, o egoizmach zatruwających miłość, o wpływie czasu na relacje mąż–żona, rodzice–dzieci. Pod powłoką sensacyjnej fabuły jest to w

sumie film o bardzo zwyczajnych sprawach. Niezwykłe i dramatyczne wydarzenia, o których opowiada, stanowią tylko pretekst do analizy stanu dzisiejszej rodziny.

Świetna muzyka Zbigiewa Preisnera, przekonujące role kobiece (Brigitte Rouan, Maria Golovine), dobre zdjęcia. Pozostaje niedosyt – zbyt wiele w tym filmie niedopowiedzeń. Ale również udzielają się tęsknoty całej występującej tu grupy bohaterów – za prawdziwym, normalnym domem, rodziną, życiem.

*

Dzielę się bardzo osobistym odbiorem festiwalu. Zresztą, obejrzałem tylko siedem filmów, czyli mniej niż połowę. Moja ocena jest więc niepełna, cząstkowa. Poza tym – jak każdy – miewam określone upodobania i uprzedzenia, co jest z pewnością i skazą, i walorem prezentowanych tu minirecenzji. Mogłem wielu rzeczy nie zrozumieć. W sumie: nie muszę mieć racji.

Jedno wszakże chcę podkreślić i z uporem tego bronić. Otóż nie potrafię odbierać filmu inaczej, jak przez pryzmat chrześcijańskiego rozumienia estetyki. To znaczy, że piękno jest dla mnie wtedy pięknem, kiedy występuje w nierozzerwalnym związku z prawdą i dobrem. Piękno oderwane od prawdy i dobra staje się atrapą piękna, niszczącą ułudą i przeradza się w swoją antytezę – w brzydotę.

Na koniec parę pytań i wniosków:

– Pod adresem twórców: czy upragniona niezależność kina ma być synonimem nieodpowiedzialności? Jeśli tak, będzie to pseudoniezależność, a w gruncie rzeczy zależność od najgorsze-

go wroga ludzkiej wolności – od grzechu.

– Krzysztof Zanussi powiedział: „Dyscypliny audiowizualne mają dziś dominujący wpływ na życie społeczeństw przemysłowych, są dzięki temu kluczem do czegoś, co przed ponad stuleciem poeta nazywał «rządem dusz». Przez zaniedbanie chrześcijanów klucz spoczywa dziś na całym świecie w rękach ludzi o orientacji laickiej czy konsumpcyjnej. Oni też sterują mediami audiowizualnymi w taki sposób, że znalazły się one w swej masie tak daleko od sfery wartości duchowych. Nie wynika to jednak, w moim przekonaniu, z przyrodzonej natury tych mediów, z ich estetycznego uwarunkowania, lecz z braku alternatywnego mecenatu”.

Czy Zanussi ma rację? A jeśli tak, to co my – jako Kościół – na to?

– Mówi się, że dzisiaj pytanie o sens jest w gruncie rzeczy pytaniem o Boga. T. Sobolewski: „Nieraz sens religijny filmu jest ukryty, polega na ukazaniu wielkiego ludzkiego niedosytu – braku Boga, braku miłości”. W tym znaczeniu wszystkie filmy, które

obejrzałem, były religijne. Były krzykiem dobywającym się z ciemności, tęsknotą za sensem, miłością, Bogiem.

– Czy warto chodzić do kina? Myślę, że warto. Kino stanowi w dalszym ciągu coś, co nazwałbym „sejsmografem” przeróżnych „wstrząsów” i przemian współczesnej mentalności, kultury, stanu świadomości. Warto je śledzić i znać, jeśli tu i teraz – a nie w jakiejś idealnej abstrakcji! – chcemy żyć Ewangelią i temu światu ją głosić.

Szesnaście wieków temu św. Bazyli Wielki pouczał wiernych Kościoła w Kapadocji: „Na wzór pszczoł powinniśmy korzystać z książek. One bowiem ani nie siadają bez różnicy na wszystkich kwiatach, ani też nie usiłują zabrać w całości tych, do których przyleciały, ale biorą z nich to, co przydatne im do roboty, resztę zostawiają. My również, jeśli mamy rozum, wzięwszy z nich to, co nam odpowiada i bliskie jest prawdzie, resztę pominiemy”.

Myślę, że mądra rada świętego biskupa pozostaje aktualna i dotyczy nie tylko starożytnych księgozbiorów, ale i współczesnego filmu.